

BIBLIOTECZNA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ — 163

ADAM SZYMAŃSKI

# STOLARZ KOWALSKI

OPOWIADANIE SYBERYJSKIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Cena 12 kop., 32 hal.

# Stolarz Kowalski

Adam Szymański



Gebethner i Wolff, Warszawa, 1911

Pobrano z Wikizródół dnia 18.08.2017

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW  
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ  
— 163

---

---

ADAM SZYMAŃSKI

---

STOLARZ KOWALSKI

OPOWIADANIE SYBERYJSKIE



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Zaznajomił mnie z nim przypadek; ściślej jednak rzeczy biorąc, przypadek ów mógł mieć miejsce jedynie dzięki wiośnie jakuckiej, a więc tej wiosnie, o której wy, szanowni czytelnicy, macie zapewne bardzo niedokładne pojęcie.

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku<sup>[1]</sup> zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin zaledwie, przypieka nawet wcale dobrze; dopóki jednak wielka Lena<sup>[2]</sup> nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki nie stopnieją śniegi, w tajgach<sup>[3]</sup> dziewiczych leżące, wiosny tu niema jeszcze. Śniegi nie podgrzewane ciepłem wewnętrznem ziemi, na kilkaset stóp przemarzłej, lód grubości sążniowej, uporczywie walczą z potęgą promieni życiodajnych i po długiej dopiero, niesłabnącej pracy, słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej i królowę wód tutejszych, babcie Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek, po raz pierwszy będący w Jakucku, zauważy tu dość ciekawe, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk jakoś dziwnie działa na ludzi, znajdujących się na ulicy; i dzieci, i starzy, i kobiety,

i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie i, zwracając się ku wschodowi, w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętymi, w skupieniu głębokim przysłuchują się czemuś chwilę.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywymi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie, ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarzać się zaczyna i wzmacnia się, i rośnie, napełniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci, przed chwilą tak spokojni, ożywiają się niezwykle: krzyki radosne: »łód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie?« rozlegają się zewsząd i hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom, w domach pozostałym, zwiastować nowinę pożądaną. Ale i do znajomych, a nawet mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązkowo jednak zastuka, rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: »Lena ruszyła!« Po chwili słowa owe, powtarzane i modulowane<sup>[4]</sup> najrozmaiciej, brzmią po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich, i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynącej w siedmiowiorstwowym korycie, piętrzą się w domy, góry całe, łamią się, trzeszczą, huczą i, osypując się tysiącami, milionami igieł lodowych, grają na słońcu cudownymi blaski.

Ale dłużej trochę pobyc tu potrzeba, przynajmniej jedną

zimę przemieszkać należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałem i mrozami niehumanitarnymi wyczerpali już swe siły, którzy z utęsknieniem i niecierpliwością oddawna już oczekują ciepła błogiego, biegną tu teraz, aby ujrzeć ostateczny tryumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznośnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna, błyszczą na żółtych twarzach jakuckich, usta szerokie, śmiejąc się dobroduszenie, jeszcze szerszymi się wydają, oczki czarne świecą jak węgle. Tłum cały jak pijany zatacza się z radości: »Chwała Bogu, chwała Bogu!« krzyczą ludzie do siebie i, zwracając się ku ogromnym górcom lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają klęską wroga nieubłaganego, który teraz, naciskany falami rozhukanemi, kruszy się, miazdży i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie, ziemia już prędko odmarza i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie<sup>[5]</sup>, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

Wielka dolina, w której leży Jakuck, wygląda wtedy czarująco: żyzna, gdzieniegdzie już uprawna, gajami brzoźowymi, mnóstwem jezior, zarośli i łąk bujnych naprzemian pokryta, z okalających ją wzgórz stromych i dość wysokich przedstawia się jak olbrzymi park, srebrną wstęgą szerokiej Leny przewity. A piękność naturalną doliny, jej powaby przyrodzone zwiększa jeszcze tajga ponura, zewsząd ją

otaczająca: wśród ogromnych obszarów kraju dzikiego, niedostępnego, dolina ta podobna jest do oazy, wśród pustyni rzuconej.

Ale i plemię jakuckie, z pomiędzy wielu innych plemion syberyjskich pod wszelkimi względami dzielniejsze, umie cenić dary słońca życiodajnego i pełną piersią z nich korzysta; wypuszczone z ciasnych i smrodliwych jurt zimowych<sup>[6]</sup>, napęlnia ono swą ziemię surową ruchem i życiem, które bije tętnem zdwojonem, pulsuje głośno i silnie. Po święcie ogólnem, *ysechu*<sup>[7]</sup> wiosennym, świąteczny i radosny nastrój ludności nie zmniejsza się wcale. Trawa rośnie jak na drożdżach, krowy i kobyły dają mleka coraz więcej i ambrozja<sup>[8]</sup> bogów jakuckich, »kumys mocodajny«, nie wysycha w »czaronach«<sup>[9]</sup>.

To też sędzę, że i widok pięknej doliny, i oglądanie na każdym kroku ludzi, używających rozkoszy lata, działały na mnie podniecająco i, doczekawszy pierwszej wiosny w Jakucku, używałem także jej darów całem swem jestestwem: codziennie, wychodząc za miasto, rozkoszowałem się pięknosciami ożywionej przyrody, codziennie sprawiałem sobie kąpiel słoneczną.

\*

\*

\*

W przechadzkach swych prawie zawsze odwiedzałem jaką jurtę jakucką. Jurty te, zwykle rozrzucone pojedynczo i jakkolwiek dość daleko jedna od drugiej, spotykają się jednak w każdej stronie i nadają okolicy, przez ludność jakucką

nasiadłej, pozór więcej zaludnionej, niż to jest rzeczywiście, więcej — niż gdyby ludność ta we wsiach się gromadziła. W każdej jurcie zawsze można dostać zimnego mleka i kumysu. Prawda, że nigdy i jedno i drugi nie są pozbawione pewnego odrażającego zapachu, o którym ludność tutejsza, niejakuca, wyraża się, »że Jakutem trąci«, ale w ciągu długiej zimy, w której o mleko niejakućkie dość trudno zwykle bywa, przyzwyczałem się do owego specyficznego zapachu na tyle, że i mleko, i kumys pić mogłem i pijałem teraz bez żadnej odrazy w ilości znakomitej.

Z pomiędzy wielu jurt, które już zwiedziłem, najbardziej spodobała mi się jurta w ślicznym ustroniu, w lesie, na dość wysokim brzegu długiego jeziora leżąca.

Jurta ta była własnością Jakuta tak starego, że każdy na pierwszy rzut oka bez omyłki mógł go nazwać *ohonio*rem<sup>[10]</sup>.

Ohonior mieszkał tu z żoną staruszką i chłopcem wyrostkiem, dalekim swym krewnym, a dwie krowy z jałoszką, para kobył i źrebię składały cały majątek małżonków.

Wszyscy Jakuci są bardzo ciekawi i gadatliwi. Szanowny ohonior przymioty owe posiadał w stopniu najwyższym, a ponieważ, chociaż kiepsko, mówił jednak po rosyjsku, więc w wycieczkach swych najczęściej ku jego jurcie nawracałem.

Naturalnie, ohonior przedewszystkiem dowiedział się, kto, skąd i kim obecnie jestem. Względem Rosyanina czy to tutejszego, czy też przyjezdnego, Jakut zawsze zachowuje się podejrzliwie i jest zbyt uniżony; Rosyanin, chociażby oberwany, zawsze jest dlań *tojonem*<sup>[11]</sup>. Stosunek do Polaków jest nierównie lepszy. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek Jakut jaki przyjął obojętnie wiadomość o tem, że jestem nie



niuczà<sup>[12]</sup>, lecz bilàk<sup>[13]</sup>.

*Bilàk bilàk?* Yzczyjgèj dohòr<sup>[14]</sup>, wołał zwykle najwstrzeźliwszy. Odrazu tedy stanąłem z ohoniorem na stopie przyjaznej, a gdy jeszcze dowiedział się on, że jestem *suruksùt*<sup>[15]</sup>, że mógłbym być w razie potrzeby *suruksùtem nasleżnym*<sup>[16]</sup>, a nawet *ułusnym*<sup>[17]</sup>, że umiem napisać prośbę do samego *ułochàn tojona*<sup>[18]</sup>, zyskałem w jego oczach wiele, unikając zbytniej poufałości. Dzięki temu i mleko, i kumys dostawałem zawsze wyśmienite, a staruszka, zdejmując *czaròn* dla mnie, starannie go przecierała palcami, zlizując podejrzone ślady językiem.

Otóż raz, gdym, wracając z codziennej swej przechadzki, wstąpił do nich na zwykłą porcyę kumysu, znalazłem ohoniora w stanie dość niezwykłym; był on nietylko mówny jak zawsze, ale i wesół jak nigdy, język jego plątał się wprawdzie, ale też za to nie czuł wcale zmęczenia. Okazało się, że starzec czcigodny tylko co wrócił z miasta, i widocznie *argy*<sup>[19]</sup> ognista rozgrzała i ożywiła drętwiejące członki.

— Bilaki dobrzy ludzie, wszyscy dobrzy — bełkotał niewyraźnie i prędko staruszek, starannie nakładając swą fajeczkę moim tytuniem — każdy *bilàk* jeżeli nie *suruksùt*, to doktor, jeżeli nie doktor, to kowal, jakiego pomiędzy Jakutami nie znajdzie. I ty widać jesteś człowiek dobry, i *suruksùt* musisz być dobry, to też wszyscy my lubimy bilaków, i *sachà*<sup>[20]</sup>) zawsze pamięta, że *bilàk* brat jego.

— Ale nie uwierzysz chyba, mój bracie, gdy ci powiem, że to od niedawna się stało i ja ot, choć już więcej niż siedemdziesiąt traw zjadły cieleta w moich oczach, przed piętnastu jeszcze laty bałem się bilaków, jak złych duchów się

boję. Zobaczyłem bilaka, tom umykał z drogi jak zając, co tchu starczyło, w las, w krzaki, byle dalej. I nietylko ja, wszyscy bali się bilaków, bo źle, widzisz, wtedy mówili o nich: mówili, że rogi mają, że ludzi biją i inne różności.

A gdym, dowiedziawszy się, że wieści te z miasta przynoszone były, zaczął wyrzucać staruszkowi łatwowierność zbyteczną w przyjmowaniu baśni bezzasadnych, niesprawdzonych, ohonior oburzył się na mnie prawdziwie.

— Bój się Boga, czyż moglibyśmy tak na słowo puste uwierzyć temu wszystkiemu, co wtedy gadali?! Jak tam już inni gdzieindziej, tego nie wiem, ale i ja, i ci, którzy tu w okolicy mieszkali, wierzyliśmy, bo od ojców słyszeliśmy, że *bilàk* każdy — człowiek straszny i niebezpieczny.

— A było to ot, z czego. — Starzec popił z czaronu, pyknął z fajki kilkakrotnie i tak ciągnął dalej:

— Ojca mego jeszcze na świecie nie było i dziadek mój był chłopcem jeszcze młodym, bo dopiero *kałym*<sup>[21]</sup> dla niego zbierać zaczęto, gdy tu zjawił się bilak z lodowatemi oczami<sup>[22]</sup>, brodą dużą i wąsami ogromnymi i zamieszkał stąd niezbyt daleko, tylko nie tu w dolinie, ale tam, wysoko, na górze. A była tam wtedy tajga do dzisiejszej wcale niepodobna, zwarta, gęsta, toporem jeszcze nigdzie nietknięta. W tajdze tej jurta stała opuszczona i jurte tę zajął ów bilak. Ale jak tylko on tam osiadł, tajga wokół na *kiesę*<sup>[23]</sup> dobrą stała się dla ludzi niedostępną. Bilak po tajdze ze strzelbą chodzi i jak tylko człowieka zobaczy, choćby to i kozak był nawet, bierze na cel, i jeżeli ten nie ucieka, strzela nie na żarty, ale prawdziwie. Z czego i jak on żył? duchy to wiedzą leśne, bo co z ludzi, to nikt tego nie widział. Uciekali od niego wszyscy, jak od *prokazy*<sup>[24]</sup>.

Ci tylko, co go widywali, jak chodził po tajdze do złego podobny, powiadali, że chodził z początku w ubraniu, podobnem do ubrania tojonów i suruksutów ruskich, ale później to już chodził w skórach, które widać już sam sobie zeszywał. I powiadali ci ludzie także, że coraz straszliwszy, coraz dziwszy się stawał; broda do pasa mu urosła, twarz coraz bielszą się robiła, a oczy — to płomieniem gorzały. Tak upłynęło lat kilka. Ale w środku zimy jakoś, w czasie mrozów największych zdarzyło się, że *chijus*<sup>[25]</sup> rozszrozył się zabójczy i w ciągu dni kilku nikt go nie widział; a że zwykle codziennie pokazywał się komuś z daleka, więc dano znać do miasta, aby dowiedzieli się, czy co złego z nim się nie zrobiło. Przyjechali, wchodzą ostrożnie — a bilak leży na łożku w swych skórach, cały szronem śnieżnym okryty i tylko w ręku krzyżyk mały ściska.

— Bilak był nieżywy. Może z głodu umarł, może zmarł, a może i tak wziął go szatan do siebie? Osądźże sam teraz, czy po tem wszystkiem słusznie czy nie baliśmy się bilaków? Przed tamtym, przed jednym wszyscy uciekali, a tu odraz u tak dużo ich najechało!

— He, he, he! Chociaż suruksut, ale młody jesteś, mój bracie, więc myślałeś, że ludzie bez przyczyny co robią? Wiedźże o tem, żeś się omylił; nie taki *sachà* głupi, jak ci się wydało!

\*

\*

\*

Podanie o bilaku, który nie znosił nawet widoku człowieka, podanie następnie jeszcze w Jakucku z kilku ust mi

powtórzone, wywarło wtedy na mnie silne wrażenie. Więc tu może po tych gajach i łąkach, po których dziś chodzę, biegał kiedyś z bólu wielkiego oszalały i zdziczały człowiek? Czy cierpienia jego były tak wielkie, czy dusza jego na złość i nędzę ludzką tak czułą i wrażliwą? Czy może rozłąka ze swą ziemią, z ludźmi sercu drogimi, tak złamała nieszczęśliwego? Opanowany myślami podobnemi, wracałem do miasta, nie patrząc już na nic; szedłem prędko, biegłem prawie i biegłem tak, dopókim nie usłyszał krzyku przeciągłego i niezbyt oddalonego:

— *Kaa! arè, ka!!*

Z początku jak krzyku samego tak i tego skąd on pochodzi — nie rozumiałem; gdy jednak coraz wyraźniej powtarzać się zaczęło *Ka! arè, kal, dah!r!* zrozumiałem: z za gaju, a raczej niewielkich krzaków, przede mną leżących, wołał ktoś po jakucku: Chodź tu, chodź, bracie!

Idąc przez zarośla, domyśliłem się nawet, kto to krzyczy. Ani Jakut, ani Rosyanin, czy to tutejszy, czy przyjezdny, nigdy tak nie przekręci słów, które czysto po jakucku wymówione, brzmieć powinny: *Kel erè, doh!r.*

Taką samowolą względem dźwięcznej mowy jakuckiej odznaczają się tylko nasze Mazury. Przez cały czas mego pobytu w Jakucku nie spotkałem chłopca Mazura, któryby słów powyższych nie przekręcił, nie przerobił z mazowiecka; jakby za znową wszyscy zawsze wymawiali: *Kal arè.*

Rzeczywiście, tuż za krzakami, za mostem, przerzuconym przez wązkie jezioro czy też zamuloną odnogę Leny, stał człowiek w zwykłym ubraniu *posieleńca*<sup>[26]</sup> i żywo wymachując rękami, w lewo od drogi zwrócony, wykrzykiwał

uparcie swoje: *Kaal arè, kal dahòr!* Wykrzykiwał zaś tak do Jakuta, widniejącego na skraju zarośli, po drugiej stronie wody leżących, wołał jednak napróżno, bo podejrzliwy Jakut ani myślał podchodzić. Przekonał się widać o tem ostatecznie i sam wołający, bo, gdym już był około samego mostu, krzyknąwszy mu jeszcze raz: *Kaal arè, psiąkrew!* przestał wołać, klnąc go tylko półgłosem: »a żebyś penk, psia paro! a żebyś spuch, psi synu!«

Zobaczywszy mnie, umilkł, ale gdym zrównał się z nim i przywitał go »pochwalonym«, chłop aż przysiadł ze zdziwienia:

— O Jezusie! a z kielia ze pon bandzie?

Zaznajomiliśmy się prędko. Chłop mieszkał gdzieś w ułusie jakuckim i przyszedł do miasta, aby się nająć na robotę do kopalni złota; najął się i iść tam miał wkrótce, jako poganiacz przy partyi bydła. Bydło to pasł on tu obecnie, a ponieważ rozbiegło mu się ono w różne strony, i sam jeden w żaden sposób nie mógł wegnać na most rozbrykanego stada, czekał więc, czy nie nadejdzie kto i nie pomoże mu trochę; w tym to celu wołał on właśnie Jakuta. Naturalnie, chętnie pomogłem mu i, gdy stado, przepędzone przez most, już spokojnie szło dalej, idąc razem, gawędziliśmy sobie po drodze.

Z rozmowy jakoś wypadło, żem zapytał go, u kogo zatrzymał się po przyjeździe do miasta.

— Ano u Kowalskiego.

Znałem w Jakucku wszystkich Polaków, o żadnym jednak Kowalskim nie słyshałem.

— Ano u tygo stolarza Kowalskiego!

Ale i o stolarzu nie słyshałem.

— Z kimże on tu zna się, do kogo chodzi? — pytać

zacząłem.

— Adyc to cudok taki, to wszyscy go tu znajom, no, a som to do nikogoj nie chodzi.

— Jakto do nikogo?

— A jakże ma chodzić, kiedy ma nogi »jak stęporoy cyste« bez paliców wcale, do idnego pooblatały. No to jeszcze, jak mu się nie rani, pół biedy, ale jak mu te rany pootwierajom się, to już po izbie łązić nie może.

— Z czegóz on się utrzymuje?

— Ze stolarki potrochu; warsztat ma piękny i naczynia różnego dość takóž, tyło, że powiadom, jak ustać na nogach nie może, no, to już i stolarka nie idzie. Wtedy to lubi bardzo, jak kto przyjdzie i ściotkę obstaluje, tyž piękne ściotki robi i do pokojów, i do ubraniów choćby, tyło, że tu pokojów takich niewiela, coby ściotkami zamiatać, a i wedle ubraniów, tyž rzadko kto czyszczone nosi. Tera, widzę, znowu zaniemóg.

— A nie wiecie, skąd on jest? czy dawno już tu?

— Dawno, toć dawno, bo jeszcze ponoć i naszych tu tak dužo nie było, a on już był tutaj, ale co do tego, skąd on, kto on taki, no, to prawdziwie, widno, pan go nie zna, bo żeby go pan znał, toby nie dopytywał mnie o to.

— Widzi pan, nie tyło mnie, ale choćby i z panów komu, choćby i księdzu, co z Irkucka<sup>[27]</sup> przyjeżdża, jeśli go o to pytajom, zawdy on jedno powiada: »Mój bracie — mówi — sam Bóg wie dobrze, skąd ja i kto jestem, a sensu z tego niema nijakiego, nie będzie tyž z tego niczegoj, kiedy i ty się o tem dowiesz«. Ot, ma pani więcej nikt się od niego nigdy nie dopytał.

Pomimo to dokładnie wywiadziałem się od pastucha, gdzie

mieszka Kowalski. Chociaż bowiem nie zdawałem sobie z tego sprawy dokładnej, dlaczego wówczas tak myślałem, opowieść o bilaku, uciekającym od ludzi, i wiadomość o stolarzu kalece, także kryjącym się przed nimi, odrazu związały się w mym umyśle w jedną całość. Czułem, że pomiędzy nimi zachodzi tajemniczy związek, że wszystkie rzeczy na świecie, powtarzając się czasów kolejną, są zawsze do oglądania na ziemi, że więc być może, i cierpienie wielkie, o którym myślałem przed chwilą, że skończyło się wraz ze śmiercią bilaka, znajduje się tuż obok mnie oddawna, zmienione tylko może, ale nie mniejsze, również wielkie i ciężkie, również bolesne dla dotkniętego.

\*

\*

\*

Odtąd codziennie prawie skierowywałem swe kroki ku jurcie, w której mieszkał Kowalski. Strużki stare, leżące około drzwi i okienek niewielkich, zawsze wystawionych ze strony słonecznej, nie odświeżały się nowymi. Czerniały one z dniem każdym, schły coraz więcej, jak czerniał i sechł może i ten, kto zestrugał je nigdyś.

I brakło mi odwagi wejść do stolarza. I znowu z niecierpliwością czekałem dnia następnego, czy nie zobaczę strużek świeżych, ale ani strużek, ani stuku roboty z wewnątrz nie było słyhać.

Postanowiłem nareszcie nie zwlekać dłużej. Z zamiarem tym wyszedłem z domu i dochodziłem już do węgła jurty, gdy z wewnątrz tejże rozległ się drżący i słaby, ale dźwięczny i sympatyczny śpiew.

Usiadłem na przyzbie około jurty i przez okna wystawione słyszeć mogłem każde słowo pieśni sentymentalnej<sup>[28]</sup> trochę, ale smętnej i rzewnej, dość rozpowszechnionej u nas w piątym dziesiątku bieżącego stulecia:

Gdy się pola zazielenią  
I wiosna wszystko ożywi i t. d.

Jeszcze smętniej brzmiała druga strofka:

Lecz kto cierpi w głębi duszy,  
Komu płynie łza żalosna,  
Tego słowik nie poruszy,  
Temu życia nie da wiosna. —  
Ten spokojnej chwili nie ma,  
Rok mu się w pory nie zmienia,  
Niemasz wiosny, gdzie — cierpienia,  
W tęsknem sercu — ciągła zima.

Po krótkiej przerwie zaczęła się i trzecia strofka:

Kto najdroższą matkę traci,  
A z nią wszystkie swe nadzieje,  
Kto patrzy na łzy współbraci...

Ale tu śpiew urwał się nagle i głos surowy »Piesiu, — zawołał — piesiu, idź, nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze«.

Z początku nie zrozumiałem tego dziwnego rozkazu, ale gdym po chwili usłyszał na dworze cienie ujadanie psa, ponieważ brama, z ulicy na podwórze wiodąca, była otwarta, wstałem więc i przechodząc koło niej, przystanąłem na chwilę. Przed drzwiami jurty, otwartymi na oścież, piesek mały, czarny i lekki, stając co chwila na zadnie łapki, skacząc i kręcąc się



zapalczywie, szczełał i skomlał ku górze, ku pięknemu, pogodnemu niebu. Naturalnie, przeszedłem dalej, znowu odkładając zaznajomienie się z Kowalskim do chwili stosowniejszej.

\*

\*

\*

Zobaczyłem go nareszcie. Wzrostu trochę więcej niż średniego, siwy już był zupełnie i nędzny bardzo. Cera ziemista, którą odznacza się większość deportowanych w Syberyi, rozwinęła się u Kowalskiego do najwyższego stopnia, i aż przykro było patrzeć na tę twarz żółtą i czarną zarazem.

Gdyby nie to, że mówił on i ruszał się, trudno byłoby, szczególnie z daleka, poznać, że to człowiek żywy jeszcze. A jednak pomimo to z oczu wielkich, szerokimi, czarnymi kręgami okolonych, wylatały czasami blaski silne, znamionujące, że wewnątrz ów trup chodzący nie obumarł zupełnie, że żyje i czuje on jeszcze.

Gdy siedział, można nawet było po pewnym czasie przyzwyczaić się do tej twarzy cierpiącej, ale ile razy wstał, odwracać się musiałem: te nogi, do »stęporów« podobne, zdawało się przy każdym stąpieniu sprawiają mu ból wielki.

Kowalski mówił po polsku czysto i poprawnie. W rozmowach swych unikał starannie wszystkiego, co mogłoby choć z daleka, choć pośrednio dotyczyć jego przeszłości; również starannie unikał wszelkich pytań o kraju. Zajęty był wyłącznie terażniejszością i psem swym, z którym ciągle rozmawiał. W czasie tych kilku tygodni, w ciągu których odwiedzałem go, raz tylko, gdym wspomniał coś o Płockiem,

oczy jego błysnęły życiem wewnętrznym, i Kowalski żywiej zapytał: »To pan zna Płockie?«

A gdym odpowiedział, że bawiłem tam rok cały, mówił ni to do siebie, ni to do mnie:

— Wszystko tam zmienić się musiało, bo to przecie czasu już tyle upłynęło! Zapewne pana na świecie jeszcze nie było, kiedy ja już do Syberyi się dostałem. A w których stronach Płockiego był pan?

— Około Raciąża.

Usta otworzył, ale czy to sam spostrzegł się, że za dużo mówić zaczyna, czy może dostrzegł, że ja zbyt pilnie słuchać zacząłem, dość, że usta już otwarte złożył w »taak« długie i ciche, i umilkł.

Była to jedyna wskazówka, którą mi dał o sobie. Pytać chciałem i pytałbym jednak dalej, ale i od tego ochronił się delikatnie: psa zawołał i, głaszcząc go pieszczotliwie, wyrzekł doń pocichu: »Idź, nawymyślaj Panu Bogu!« I długo pies posłuszny szczekał ku niebu, a jeżeli Kowalski wydawał podobne zlecenie, znak to był niechybny, że o sobie słowa już z ust nie wypuści. Tylko o psie swym w takich razach zwykł był mówić i wiele, i chętnie.

Pies ten, jakkolwiek niczem szczególnem nie odznaczał się wcale, wyróżniał się jednak z pomiędzy swych współbraci jakuckich pod wielu względami. Wyróżniało go z pomiędzy nich przedewszystkiem to, że chociaż był psem kochanym, miał dom i pana, nie miał nazwiska, zwał się bowiem psem lub piesiem zwykłe.

— Dlaczegoż mu pan nazwiska nie dał? — zapytałem jakoś Kowalskiego.

— A nacóż mu nazwisko? Gdyby ludzie nazwisk różnych

nie powymyślali sobie, a ludźmi zwali się poprostu, może lepiej by o tem pamiętali że ludźmi i w życiu być powinni.

Był więc pies bez nazwiska. Był on nadzwyczaj lekki, zwinny i wątki, do krępych, mocnych, gęstym i długim włosem obrosłych psów miejscowych zupełnie niepodobny; sierść jego była krótka, miękka i jak jedwab lśniąca. To też wskutek tej swej odrębności zewnętrznej wiódł on tu życie samotne i opuszczone. Kilkakrotne próby wzięcia żywszego udziału w psim życiu tutejszem skończyły się zupełnem niepowodzeniem. Piesio wracał zawsze z prób tych tak pokąsany i zbiedzony, że po kilku niepomysłnych usiłowaniach skwitował ze swych instynktów towarzyskich i nie opuszczał już nigdy własnego podwórza.

Był on za to nad swój wątki organizm poważny i powaga ta nie licowała zupełnie z jego cienką i ruchliwą figurką; nie była ona spokojną, podobną do powagi psa sensata, krótkiego lub długiego, ale grubego i mocnego. W oczach piesia widniała gorycz i nienawiść ku wielkim i mocnym stworzeniom, nie umiejącym uszanować praw słabszego. Okrom jak panu, ogon jego nikomu nie okazywał swej przychylności, łask postronnych, nie rozumiał, nie wierzył w nie może i odpowiadał na nie głuchem warczeniem.

\*

\*

\*

Kilka tygodni upłynęło od czasu, jak zaznajomiłem się z Kowalskim, i w zdrowiu jego nie zaszła żadna zmiana na lepsze; przeciwnie, słabł on z dniem każdym, i wszyscy my, cośmy odwiedzali go teraz, przekonaliśmy się, że choroba ta

jest już ostatnim aktem jego życia na ziemi. Czy Kowalski wiedział o tem, Bóg to wie, ale wiedział zapewne, przeczuwał może koniec blizki, bo mówić prawie zupełnie przestał.

Po kilku dniach, w ciągu których chory uporczywie toczył ostatnią walkę ze zwalczającą go niemocą i jeszcze chodził po swej jurcie, a nawet dłubał coś około paru szczotek, niedawno zaczętych, ustąpił nareszcie i położył się do łóżka. Nie pamiętam już dziś dobrze kiedy, ale wkrótce jakoś potem, rano, tylko com usiadł do herbaty, gdy podszedł do mego okna ślusarz, Władysław Piotrowski, najbliższy w Jakucku znajomy Kowalskiego, i zapytał, czy nie mogę teraz pójść z nim do chorego, który dziś ma się źle bardzo.

— Może umrze spokojniej, gdy widzieć będzie, że nie jest zupełnie opuszczony — objaśniał mnie pocziwiec — a może też pan weźmie i książkę jaką? — dodał jeszcze na końcu.

Książki stosownej nie miałem, wziąłem więc z sobą Nowy Testament i wyszedłem natychmiast.

— Czy już tak źle z nim? — zapytałem po drodze.

— Myślę, że źle, bo szerniał zupełnie, a i sam mówił, że dziś już umrze napewno.

Jurta Kowalskiego była niedaleko ode mnie, i po chwili byliśmy na miejscu. W jurcie nie było zwykłego przy ciężko chorych zapachu lekarstw, bo Kowalski ani doktora, ani lekarstw żadnych przyjąć nie chciał. Smutno tu było tylko, jak w pustkowiu jakim: piesio skulony leżał pod łóżkiem, a około łóżka samego, pomimo okienek wystawionych i drzwi otwartych, przykry zapach ciężko chorego człowieka przypominał, że człowiek, na niem leżący, nie wstanie już więcej.

I człowiek ten, rzeczywiście, był już tak niepodobny do

żywego, że gdyśmy weszli, a zobaczyli jego oczy zamknięte, sądziliśmy, że umarł już, być może. Władysław podszedł do łóżka i wsunawszy rękę pod kołdrę, dotknął nóg jego. Nogi zimne były zupełnie; ale zaledwie ślusarz ruszył z powątpiewaniem ramionami, »żyję, żyję, żyję jeszcze — odezwał się Kowalski tak głośno i dobitnie, jak nigdy jeszcze dotąd nie słyszałem — żyję, — zaczął znowu — i dobrze, żeście przyszli, chcę pomówić i wami przed śmiercią«.

Żywość i gorączkowość, z jaką Kowalski to wypowiedział, jeszcze bardziej utwierdziły nas w przekonaniu, że przyszliśmy w czasie właściwym; spojrzeliśmy więc po sobie, ale chory dostrzegł to spojrzenie i zrozumiał je.

— Wiem i ja, — odezwał się zaraz — że umrę prędko, nie skryjcie więc przede mną tego, co jest mi otwartem; powiedziałem wam, że chcę mówić z wami, wiem więc, że umrę niedługo, inaczej nie mówiłbym bowiem. Bałem się, że nikt nie przyjdzie... bałem się, że nikt już mnie nie usłyszy... i że ten, co go Bogiem nazywacie miłosiernym, zdąży odjąć mi mowę... Dziękuję więc wam za opiekę, obyście i wy, gdy konać będziecie, życiem nieszczęśliwem, jak ja, zgnębieni, nie konali opuszczeni...

Kowalski umilkł i tylko czoło, sfałdowane w zmarszczki podłużne, to zbiegające się bliżej i głębsze, to zmniejszające się znowu, wskazywało, że umierający wysiłkiem ostatnim skupia myśl ulatującą, wolą silną zatrzymuje wybiegające zeń życie.

Rano jeszcze było, i słońce przez okna, wychodzące ku wschodowi na brzeg rzeki, rzucało na ścianę, obok której stało łóżko chorego, dwa ogromne snopy swych promieni złocistych. Z łąk, rozległych, z całego archipelagu wysp, bujną

roślinnością okrytych, zewsząd życie tryskało i odgłosy tego życia, echa tego ruchu żywego, wywołanego światłem potężnym, dźwięcząc pieśnią melodyjną, składając się w cały hymn dziękczynny, dochodziły aż tu, do łoża konającego, tworząc z tem, co się w jurcie znajdowało, kontrast<sup>[29]</sup> rażący.

Ironią<sup>[30]</sup> gorzką, urągowskiem świętokradzkim wydawały się owe promienie słoneczne, owo życie, pieśnią radosną rozbrzmiewające, wobec łoża tego nędzarza, tego trupa żywego...

\*

\*

\*

— Dawno już bardzo, lat pewno ze czterdzieści temu — zaczął tymczasem Kowalski — dostałem się do stepów orenburskich<sup>[31]</sup>; młody wtedy byłem i silny; ufałem Bogu, ufałem ludziom i sobie. Słusznie czy nie, dość, że sądziłem, iż nie mam prawa pozostawiać swych sił na łasce losu, lecz winienem sobie wynaleźć pole do działania szersze, niż to, które tam znaleźć się mogło. Tęsknota za krajem popychała także, i po dwuletnim pobycie uciekłem stamtąd...

— Dostałem się za to dalej — do tomskiej gubernii, ale nie upadłem na duchu. Zabrałem się do roboty z energią, chleb i woda były pokarmem moim; uciulałem nareszcie grosza, ile potrzeba było, i znowu wyruszyłem w drogę...

— Za tę powtórną ucieczkę, jako recydywista uparty, odpokutowałem dłużej i dopiero po latach kilku ruszyłem odwrotnie, ale teraz jeszcze dalej.

— Zima była niezwykle surowa, byłem bez grosza, bez

odzieży; odmroziłem wtedy nogi i wszystkie palce straciłem. Była to klęska dla mnie, tembardziej, że wypadło mi zamieszkać aż za Jenisiejskiem<sup>[32]</sup>.

— Ciężej mi teraz było, miejscowość była głucha i bezludna, i o zarobki jakiegokolwiek dość trudno także, chociaż jednak okaleczony utratą palców, wyuczyłem się rzemiosł kilku i jeżeli nie z jednego, to z drugiego dochód miałem, wprawdzie niewielki, lecz stały.

— Sześć lat przygotowywałem się teraz i, nie bacząc na swe nogi, po raz trzeci wyruszyłem w drogę.

— Widzicie, w siły swe już nie wierzyłem; chory byłem i złamany, więc ciągnęło mnie na zachód już nie to, co poprzednio. Umrzeć tam chciałem... Umrzeć tam chciałem, a już jak o szczęściu, marzyłem o śmierci na grobie matki.

— Życie moje takim było, że nikogo oprócz tej matki nie miałem na ziemi: nie miałem kochanki, nie miałem żony, nie miałem dzieci. Od nikogo więcej, od niej jednej tylko doznałem łaski na świecie.

— To też, gdym uczuł się opuszczonym, bezsilnym, zatęskniłem do grobu tej jedynej kochającej mnie istoty...

— Wśród nocy bezsennych czułem jej rękę, obejmującą mą głowę, jej pocałunek i jej łyzy gorące, którymi raz ostatni mnie żegnała, przeczuwając może wieczną rozłąkę. Dziś nie wiem, do kraju czy do niej więcej tęskniłem.

— Ale ciężka to już droga była dla mnie: iść prędko nie mogłem, rany w nogach otwierały się ciągle. Jak zwierz dziki tygodnie całe w tajdze kryć się musiałem. Nieraz w puszczy zapadłej sępy i kruki, czując żer pewny<sup>[33]</sup>, zwiastowały mi śmierć bliską; nieraz, głodem wycieńczony, padałem bez sił

zupełnie i... niebaczny... zawsze wzywałem ku niebu: błagałem Boga wszechmogącego, Boga miłosiernego, Boga sprawiedliwego, Boga nędzarzy, Boga opuszczonych: ratuj! zlituj się nade mną, Ojczy miłośniwy! Daj śmierć, o nic więcej, o śmierć tę jak o łaskę proszę, sam ją zadam sobie, ale daj *tam...*

— Dwa lata zeszło, zanim doszedłem do permskiej gubernii. Tak daleko przedtem nigdy jeszcze nie zachodziłem. Już serce biło mi radośnie, myśl jak u szalonego kołowała w głowie... myśl jedna: ujrzę ją, zobaczę ziemię rodzoną i umrę na grobie ukochanej. I gdym przeszedł na tamtą stronę Uralu, uwierzyłem w zbawienie swoje, padłem na ziemię i nieprzytomny długo, długo szlochałem, dziękując Bogu za łaskę, za miłosierdzie Jego. A On, miłosierny, gotował mi cios ostatni i tegoż samego dnia...

— Dostałem się wtedy do Jakucka.

— Dlaczego tu żył w nędzy aż dotąd, dlaczego tu czekał na koniec taki?

— Dlatego, że wiedzieć chciałem, co Bóg ten ze mną zrobi.

— Z człowiekiem, który mu wierzył z ufnością dziecięcia; który nigdy nie zaznał szczęścia na ziemi i szczęścia tego nie pragnął; który nie zaznał łaski ludzkiej oprócz łaski matki; który okaleczony, pracował do końca życia swego; który nigdy ręki nie wyciągał, nie kradł, nie pożądał, nie zabijał, mając dwa — oba oddawał: widzicie, co zrobił...

— Więc nienawidzę Go... nie wierzę Mu... nie wierzę świętym Jego, nie wierzę w sąd Jego, nie wierzę w sprawiedliwość Jego, i słuchajcie mnie, bracia! za świadki was biorę w śmierci godzinie, abyście i tu wiedzieli, i tam, gdy wrócicie, świadczyć mogli... — i podniósłszy się gwałtownie i



ręce ku słońcu wyciągając, zawołał głosem wielkim:

— Ja, nędzarz konający, rzucam Ci w oczy, żeś Ty Bóg sytych, żeś Ty Bóg podłych, żeś Ty Bóg plugawych, żeś krzywdził mnie niewinnie!...

\*

\*

\*

I w oświeceniu słońca jasnego, co wzniosłszy się wyżej, złociło teraz promieniami swemi owo łożo łazarzowe, okropnie wyglądał ten kościotrup żywy, skórą obwisłą powleczonej...

I gdy upadł wycieńczony, przerażeni sądziliśmy, że umrze on natychmiast, a my niczem mu pomódz, niczem ulżyć nie mogliśmy.

— Módlmy się za niego — wyszeptał ślusarz nareszcie.

Uklękliśmy obaj; drżącą ręką wyjąłem przyniesioną książkę i otworzyłem ją; i otworzyła się książka w miejscu, niegdyś założonem, na ewangelii św. Jana, rozdziale XV.

— Jam jest winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest winogradnikiem — głośno czytać zacząłem.

Pierś konającego wznosiła się gwałtownie oczy zamknięte były.

A słońce zalewało go całego światłem swoim i jak gdyby chcąc mu wynagrodzić w ostatniej chwili życia ciężkie, tuląc się doń miłośnie, ogrzewając zastygające ciało, zdawało się, uspokaja go i całuje promieniami złocistymi, jak matka całuje dziecię zasypiające i kapryśne i uspokaja je swem ciepłem, swą obecnością.

Konający żył jeszcze.

I gdym czytał dalej pełne siły, wiary i ufności głębokiej

słowa Chrystusowe:

— »Jeśliż was świat nienawidzi, wiedzcież, iż mnie pierwej niż was znienawidził« — i natchnione słowa nauczyciela cierpiących, i pieszczota światła ożywczego ukończyły konającego; oczy jego otworzyły się, i z oczu tych wypłynęły dwie łzy wielkie, dwie łzy ostatnie, co się w tym człowieku ostały.

I słońce promieniami swymi dotknęło łez tych, na twarzy szerniałej stojących, i oświecając je światłem niebieskiem, zda się, pokazywało Bogu owe ognie wewnętrzne, barwami czystymi iskrzące, a we łzach tych ostatnich skupione, ognie, co życie to spaliły...

A gdym przeczytał jeszcze:

— Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci...

Konający spróbował podnieść ręce, ale gdy opadły one bezwładnie, cicho i wyraźnie wymówił:

— Przez mękę Twoją, daruj mi, Panie!

Czytać dalej nie mogłem.

Kłęczeliśmy w milczeniu, a piesio zdziwiony stał pomiędzy nami, panu się swemu przyglądając.

I gdy zwróciło się ku nam oko konającego, usta jego jeszcze raz otworzyły się, i usłyszeliśmy jeszcze wolniej, jeszcze ciszej wypowiedziane słowa:

— Piesiu, *nie* wymyślaj Panu Bogu.

Zwierzę pocziwe, skowycząc żałośnie, skoczyło ku zwisłej ręce pana swego, ale ręka ta była już bezwładną.

Oczy jego zamknęły się, z ust wydobyło się rżenie krótkie i stłumione; pierś opadła; ciało wyprężyło się zlekka, i człowiek, który wiele wycierpiał — przestał cierpieć.

\*

\*

\*

...I dopiero wtedy, gdyśmy oprzytomnieli, usłyszeliśmy zapamiętałe szczekanie piesia przede drzwiami. Napróżno staraliśmy się go uspokoić; nie odbierając nigdy rozkazów podobnych do ostatniego, piesio nie zrozumiał pana swego i spełniał teraz sumiennie to, co tak długo było jego obowiązkiem. Szczekał, ujadał i przybiegał do łóżka, do ręki sztywnej, oczekując zwykłej pochwały.

Milczał jednak pan jego, nieruchomo leżała ręka zimna, i piesio zmęczony, zziębły i ochrypy, biegł znowu przede drzwiami.

Wyszliśmy, ale daleko już będąc od jurty, dokładnie jeszcze słyszeliśmy urywane ujadanie nierozumnego piesia.

W kwietniu 1886 r.



## Przypisy


1. [↑](#) Jakuck jest miastem stołecznem wielkiej ziemi jakuckiej, tworzącej we względzie administracyjnym jedną gubernię jakucką. Gubernia, inaczej zwana »obłast'«, jakucka zajmuje całą północno-wschodnią część Azji i jest prawie tak wielka, jak cała Rosya europejska. Ogromny ten kraj jest bardzo słabo zaludniony i niesłychanie zimny, szczególnie w środku kraju na przestrzeni, posiadającej około 600 wiorst długości i tyleż szerokości, zimno dochodzi do najwyższego natężenia. Ta to najzimniejsza część ziemi jakuckiej nazywa się biegunem zimna północnego. Dalej bowiem ku północy, ku właściwemu biegunowi ziemi, mrozy już nie bywają tak silne. Jak wielkie są tu zimna, zrozumie każdy, gdy się dowie, że już na początku

listopada i potem w końcu marca mrozy 30 stopniowe są zwykłe, a w środku zimy mróz dochodzi do 52 stopni wedle [ciepłomierza Reaumura](#) (czytaj Reomiura).

Dopiero wiedząc o tem, każdy z czytelników zrozumie radość ludzi, witających w tym zimnym kraju zbliżającą się wiosnę. (Wszystkie przypiski są uczynione przez autora).

2. ↑ Lena jest jedną z największych rzek na świecie, długość jej wynosi przeszło 5.000 wiorst, a wśród mnóstwa wpadających do niej rzek i rzeczek pięć jest większych od naszej Wisły. Szerokość Leny pod Jakuckiem wynosi 7 wiorst.
3. ↑ Tajgą w Syberyi nazywa się las duży.
4. ↑ Modulować znaczy zmieniać głos, zmieniać ton głosu.
5. ↑ W całej ziemi jakuckiej ziemia jest zmarznięta na bardzo wielką głębokość, w lecie odmarza na dwie stopy tylko w miejscach zupełnie otwartych, zwróconych do południa, w lasach zaledwie na jedną stopę.
6. ↑ Tylko bardzo biedny Jakut pozostaje na lato w jurcie zimowej. Jurta zowie się dom jakucki, inaczej niż nasz budowany. Jurta posiada dach płaski.
7. ↑ *Ysèch* — tak się nazywa święto wiosenne, na którym Jakuci raczą się kumysem i składają ofiary dziękczynne. Wszystkie wyrazy jakuckie wymawiają się z akcentem na ostatniej sylabie.
8. ↑ Ambrozyą starożytni Grecy nazywali pokarm, używany wedle ich wierzenia przez bogów. Pokarm ten miał posiadać taką własność, że, kto go raz skosztował, stawał się nieśmiertelnym. Obecnie wyraz ten używa się nie tylko w poezyi, ale i w rozmowie dla żartobliwego oznaczenia jakiegoś pokarmu jako szczególnie smacznego.
9. ↑ *Czaròn* — czasza v. kubek drewniany, wyłącznie do picia kumysu używany. Kumys wyrabia się z mleka kobylego, jest to napój bardzo posilny i jest ulubionym napojem wszystkich plemion tatarskich.
10. ↑ *Ohoniòr* — dosłownie starzec, właściwie jednak nazwa zaszczytna, wyrażająca głęboki szacunek dla ludzi wiekowych.
11. ↑ *Tojòn* — pan.
12. ↑ *Niuczà* — Rosyanin.
13. ↑ *Bilàk* — Polak. Dźwięku *p* niema w języku jakuckim.
14. ↑ Polak, Polak? Doskonale, bracie!
15. ↑ *Suruksùd* — umiający pisać, pisarz.
16. ↑ Najdosłowniej — pisarzem wiejskim.
17. ↑ Pisarzem gminnym. Od słów *naslèg* i *ulùs*. Kilka rodów jakuckich tworzy we względzie administracyjnym najniższą jednostkę — *naslèg*. Kilka naslegów tworzy *ulus*.

18. ↑ *Ułochàn tojòn* — Ułochan tojon — wielki pan, tak jakuci tytułują miejscowego gubernatora.
19. ↑ *Argý* — wódka.
20. ↑ *Sachà* — Jakut, tak Jakuci siebie nazywają.
21. ↑ *Kałymem* zowie się zapłata za żonę, zwykle w na turze, t. j. bydłem i końmi wyplacana. Zbierać zaczyna się wcześniej, żeby, gdy chłopiec dorośnie, miał za co dostać żonę.
22. ↑ Tak ludność jakucka, jako czarnooka, nazywa nieraz oczy jasne.
23. ↑ *Kiesa* — miara jakucka, równa się 7—10 wiorstom.
24. ↑ *Prokaza* — po polsku trąd, *lepra borealis* — choroba zaraźliwa; chorych pomieszczają w osobnych jurtach.
25. ↑ Chijusem nazywa się wiatr, gdy powieje w czasie wielkich 40-o stopniowych mrozów. Wiatr taki, choćby najśłabszy, potęguje do najwyższego stopnia wielkie zimno, które wtedy staje się wprost zabójczem.
26. ↑ Deportowanego, t. j. zesłańca.
27. ↑ Wszyscy katolicy, mieszkający w Jakucku i całej ziemi jakuckiej, należą do parafii irkuckiej, a ponieważ Irkuck jest odległy od Jakucka o 3.000 wiorst, to chociaż ksiądz dojeżdża tu niekiedy dla spowiedzi, chrztów i ślubów, bywa to jednak bardzo rzadko, co rok, czasem co 2, co 3 lub i co 4 lata.
28. ↑ Sentymentalny znaczy to samo co uczuciowy, zwykle jednak używa się w znaczeniu: zbyt czuły.
29. ↑ Kontrast znaczy sprzeczność.
30. ↑ Ironia znaczy tu szyderstwo.
31. ↑ Stepy orenburskie znajdują się na granicy pomiędzy Rosją europejską i Syberią.
32. ↑ Jenisiejsk leży już we wschodniej Syberii.
33. ↑ Uciekający z Syberii wierzą, że jeżeli nad uciekającym w tajdze zgromadzić się zaczną ptaki drapieżne, śmierć uciekającego jest bliską, i nic go już ocalić nie może.

 Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Adam Szymański](#).

# O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)<sup>[1]</sup>. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Stolarz Kowalski](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)<sup>[2]</sup>.

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)<sup>[3]</sup>

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)<sup>[4]</sup>.

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee

- Cafemoloko
- Kuladam
- Bonvol
- Nutaj
- Ankry
- Tommy Jantarek

- 
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
  2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
  3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze\\_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
  4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)